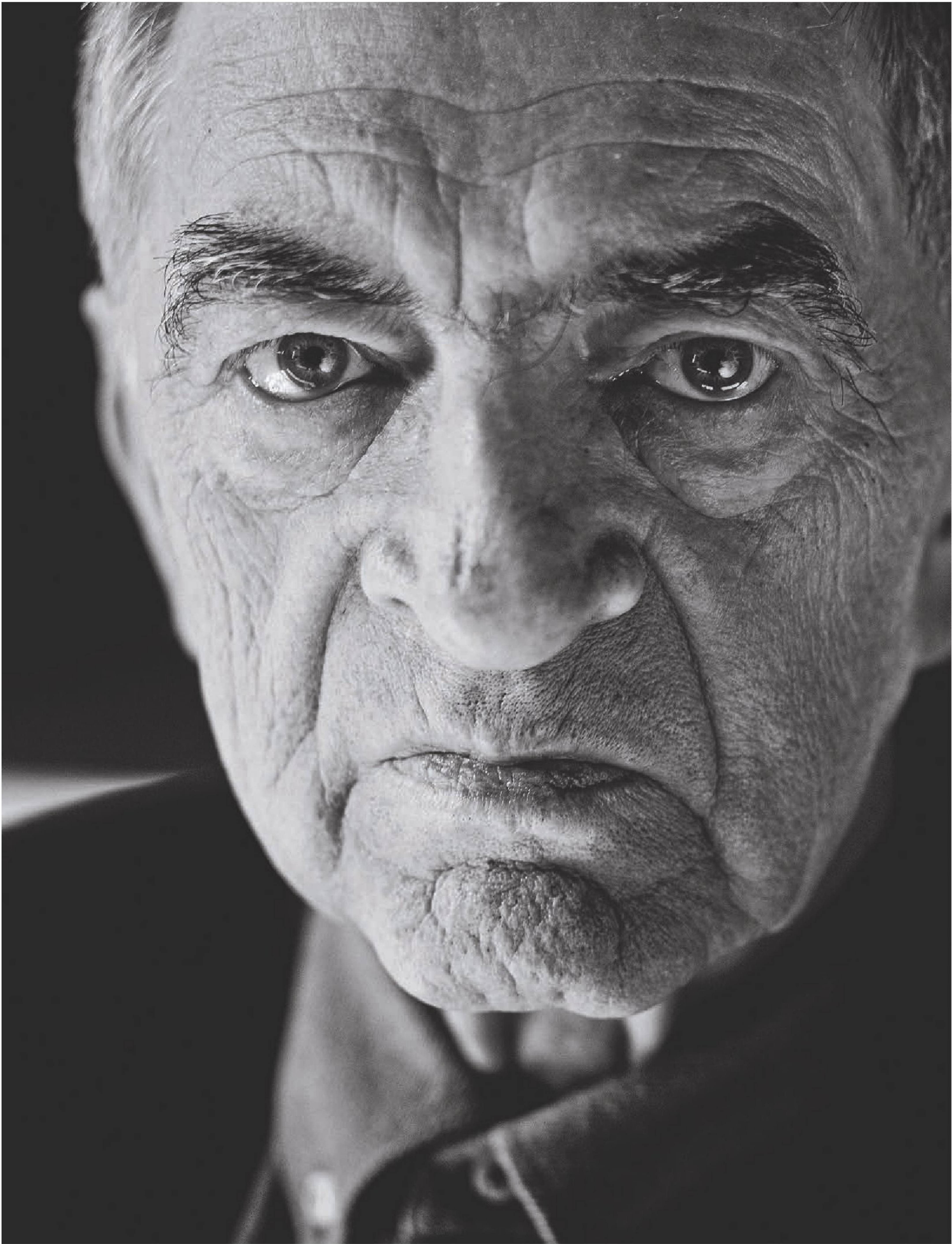




JERZY TRELA (1942-2022)

Jasna strona życia

Pielegnował w sobie rodzaj prostoty. Był wybitnym aktorem, którego krępowały rozmowy o sztuce

TEKST JACEK TOMCZUK

Nie spotkałem się z człowiekiem, który miał mniejsze aktorskie ego niż Jerzy Trela. Są aktorzy, którzy schodząc ze sceny czy planu, kończą grać jedną rolę i zaczynają drugą, w życiu. Jerzy to było uosobienie autentyczności, na scenie i poza nią – mówi Józef Opalski, teatrolog i reżyser, przyjaciel aktora. – Miał w sobie rodzaj prostoty w postrzeganiu świata i czerpaniu radości z małych rzeczy. Był wcieleniem szlachetności. W wydaniu zawodowym, ale też ludzkim.

– Sprawiał wrażenie mruka, ale był bardzo towarzyski – wspomina Krzysztof Jasiński, założyciel Teatru Stu. – Jako człowiek był zamknięty jak sejf. Na kod otwarcia trzeba było zapracować.

15 maja zmarł Jerzy Trela, legendarny Konrad, który lubił też grać w komediach, członek PZPR, który przyjaźnił się z ks. Tischnerem. Mistrz polszczyzny, który na co dzień rozmawiał podkrakowską gwarą.

Z KABARETU DO „DZIADÓW”

SZOK I ZASKOCZENIE – 30-LETNI JERZY TRELA nie mógł uwierzyć, kiedy dowiedział się, że wielki reżyser Konrad Swinarski proponuje mu rolę Konrada w „Dziadach”. Aktorskie doświadczenie zdobywał w szkole teatralnej, Teatrze Lalki i Maski Groteska czy kabarecie w Teatrze Stu, który zaczynał swoją działalność. Do zespołu Starego Teatru dołączył zaledwie dwa lata wcześniej.

– Nie spodziewał się, bo czuł, że jest ulepiony z innej ludzkiej i aktorskiej gliny, fizycznej i psychicznej. Inaczej widział swoją drogę w teatrze – opowiada Tadeusz Nyczek, przyjaciel jeszcze z czasów licealnych. – Ze swoją twarzą i posturą widział się bardziej w rolach zwykłych ludzi, takich z ulicy czy tramwaju. Ale nie w roli Mickiewiczowskiego bohatera narodowego! Czuł się przede wszystkim chłopakiem z podkrakowskich Leńcz. „Kompleks” to może za duże słowo, ale miał poczucie, że nie pasuje do romantycznego świata bohaterów. Nawet Kraków wydawał mu się wielkim światem, a co dopiero wadzenie się z Bogiem w imieniu całego narodu. Miał świadomość awansu społecznego, jakiego dokonał.

Był synem kolejarza i kucharki. Kiedy ojciec zginął w wypadku kolejowym, Jerzy miał dziewięć lat. Matka żyła ze skromnej renty, nie mogła sama utrzymać dwóch synów, Jurek został oddany do wuja do Wrocławia. Kiedy dostał się do liceum plastycznego w Krakowie, matka nie miała pieniędzy, żeby płacić za

szkolną bursę, na jakiś czas Trela wylądował w domu dziecka.

Chciał zostać malarzem. – I z jego introwertycznym charakterem była to naturalna forma wyrażania siebie, malarz pracuje sam. Ale nie dostał się na ASP, a aktorem został właściwie przez przypadek – wspomina Tadeusz Nyczek.

– Nie pchał się na pierwszy plan – tak kolegę z krakowskiej szkoły teatralnej zapamiętał Krzysztof Jasiński. – Był raczej zaprzeczeniem modelowego studenta aktorstwa, który musi zaistnieć. Kiedy szedł korytarzem, trzymał się raczej blisko ściany, a nie środka.

W Krakowie zyskał opinię zdolnego aktora komediowego, występował z Jerzym Stuhrem w kabaretowej „Kobiecie Demon” czy „Pamiętniku wariata” Gogola w Teatrze Stu. Dzięki rolom w spektaklach Konrada Swinarskiego, najpierw w „Dziadach”, a potem w „Wyzwoleniu” Wyspiańskiego, stał się twarzą Starego Teatru, z którym związał się niemal na 40 lat.

– Swinarski postawił go na piedestale – mówi Jasiński. – Odtąd teatralna publiczność widziała go przede wszystkim cierpiącego za miliony.

Czasami dochodziło do grubych nieporozumień. – Pamiętam w „Termopilach polskich” Micińskiego pewien młody reżyser uwierzył, że Jurek może zostać księciem Poniatowskim. I Trela, z lekko plebejską twarzą i posturą, miał zagrać bawidamka, lwa salonowego. To była spektakularna porażka – śmieje się Nyczek.

Nie lubił wolnego czasu. Narzekał, że wszystko go boli, ale jak nie grał przez trzy dni, był nie do życia

Po jego talent sięgali najwięksi: Andrzej Wajda, Jerzy Jarocki, Jerzy Grzegorzewski, Kazimierz Kutz...

Sam Trela lubił się zdystansować wobec swego poważnego wizerunku i z czasem chętnie przyjmował role w lżejszym repertuarze. – Czasami męczyły go ta głębia, mroki, w które chcieli go wepchnąć reżyserzy. On chciał mieć z grania przyjemność. Lubiał grać jasność, pogodę ducha. To było mu bliskie – mówi Artur Więcek, reżyser i przyjaciel aktora.

KONKRET ZAMIAST WIZJI

DO TEATRU MIAŁ STOSUNEK NIEMAL SAKRALNY. Co mu nie przeszkadzało jednocześnie mieć do niego pewnego rodzaju dystansu. Kiedy na jednym z przedstawień „Dziadów. XII improvizacji” Jerzego Grzegorzewskiego zauważył, że uczeń z wycieczki szkolnej na skraju sceny postawił puszkę z napojem, powoli podszedł do niej i kopnął tak mocno, że przeleciała nad kilkunastoma rzędami. Widownia ucichła, Trela mógł zacząć monolog.

Swoim doświadczeniem dzielił się nie tylko jako profesor w szkole teatralnej. Nieraz uspokajał przed spektaklem zbyt stremowanych młodych aktorów: Co się boisz? To przecież nie wojna w Wietnamie, tylko teatr. Głowy ci nie urwie.

Reżyser Artur Więcek pamięta pierwsze spotkanie z Jerzym Trelą, chciał go namówić do roli narratora w „Historii filozofii po góralsku według ks. Józefa Tischnera”, co zresztą podpowiedział mu sam autor. Opowiadał o pomysłach na spektakl, o roli. Trela słuchał, wreszcie mówi: No, no, rozumiem. Tylko jedna sprawa jest ważna: kalesony muszą być, bo jak mam zagrać górala, to te góralskie gacie strasznie gryzą.

– Cały Jurek, nie lubił wielkich słów, idei, wolał je przekładać na konkret – wspomina Więcek.

– Był mężczyzną z Leńcz, zajmowanie się sztuką, udawanie jakichś postaci było w jego mniemaniu mało męskie – opowiada Józef Opalski, przyjaciel aktora. – Kiedy ktoś mówił o nim „aktor”, machał ręką: e tam, znam lepsze sposoby zarabiania na życie. Krępowały go roz-

mowy o sztuce, wolał dobrą plotkę czy anegdotę.

KONRAD U SEKRETARZA KW

PRZEZ LATA BYŁ FILAREM STAREGO TEATRU, a potem też rektorem krakowskiej szkoły teatralnej. W obu instytucjach pełnił jeszcze jedną funkcję: jako członek PZPR był łącznikiem między światem kultury i władzy.

– Był człowiekiem lewicy, solidaryzował się z ludźmi, którzy zawdzięczali Polsce Ludowej awans społeczny. Z jakichś powodów do partii należeli też Jerzy Grotowski czy Tadeusz Łomnicki – mówi Jasiński.

„Czasami męczyła go ta głębia, mroki, w które chcieli go wepchnąć reżyserzy

ARTUR WIĘCEK, REŻYSER

To on był wysyłany, żeby coś załatwić w Komitecie wojewódzkim albo w ministerstwie. Najtrudniej było w stanie wojennym. Grał Konrada, który wodzi się z Rosją, zacieklego patriotę, a na murach Starego ktoś pisał, że Trela jest zdrajcą, bo należy do partii. – Strasznie to przeżywał. A przecież ten partyjny rektor zdrajca zatrudnił w swojej szkole ks. Tischnera i bardzo się tym chwalił – wspomina Nyczek.

Żeby ocalić Stary Teatr i szkołę teatralną, zgodził się w stanie wojennym wziąć udział w Narodowej Radzie Kultury czy kandydować w 1985 r. do Sejmu. Kiedy cenzura nie chciała dopuścić do premiery spektaklu „Termopile polskie” w 1986 r., doprowadził do tego, że rządowym samolotem przylecieli na przedpremierowy spektakl najważniejsi urzędnicy w państwie i w Komitecie Centralnym PZPR. Doszło do premiery.

– Jak trzeba było iść w gniazdo os, to szedłem – mówił w „Newsweeku” kilka lat temu. – Tu, w Krakowie, wśród partyjnych urzędników miałem posłuch i sporo życzliwości. Ale w Warszawie było gorzej, aranżowałem nieformalne spotkania. Nie mam z czego się tłumaczyć. Robiłem to dla sztuki, a nie dla siebie. Nieraz czułem upokorzenie. Bolało, ale jak się udawało coś wyszarpać, to mniej.

NIE UMIAŁ ODPOCZYWAĆ

– W JAKIŚ SPOSÓB BYŁ PODOBNY do Zbyszka Wodeckiego – wspomina Krzysztof Jasiński. – Obaj odpoczywali w czasie jazdy samochodem. Zresztą Jurek znał się na nich, godzinami potrafił rozmawiać o silnikach i nowinkach technicznych.

Nie umiał odpoczywać. Nie lubił wolnego czasu. Narzekał, że wszystko go boli, ale jak nie grał przez trzy dni, to czuł się rozdrażniony, był nie do życia. Nie potrafił sobie tak naprawdę znaleźć innego zajęcia niż granie. Nudziło go czytanie, kino... Uwielbiał rozmawiać z przyjaciółmi przez telefon. Potrafił zadzwonić nawet w nocy, bo coś usłyszał w telewizji i chciał to przedyskutować.

– Ile razy przyjeżdżał do mnie na Mazury, nigdy nie widziałem, żeby leżał bezczynnie na plaży. Sądzę, że nie czytał dla przyjemności. Tyle grał, że zawsze musiał się przygotowywać do pracy, uczyć się tekstu – mówi Jasiński. – Albo w nieskończoność powtarzać. Był mistrzem słowa i wiedział, co jest napisane w prologu do Ewangelii św. Jana.

Na starość wyremontował rodzinny dom w Leńczach, gdzie często jeździł. Do końca miał poczucie, że nie może zdradzić swego wiejskiego pochodzenia. Nie może tak całkowicie należeć do świata artystycznego, być krakowskim inteligentem mówiącym piękną polszczyzną. Kiedy spotykał się z przyjaciółmi, natychmiast przechodził na gwarał podkrakowską. – Tu się czuł najlepiej, u siebie, wśród swoich. Jego naturalnym środowiskiem był przede wszystkim teatr, kumple. Wśród nich nie musiał się napinać i na kilometr usłyszeć można było Jurkową gwarał z Krowodrzy czy Podgórze – śmieje się Nyczek.

– Jurek pielęgnował w sobie rodzaj prostoty. Lubił, żeby w życiu i sztuce było jasno. Zachował to do końca życia – mówi Józef Opalski.

MEDYTACJA NA SCENIE

OD LAT BYŁ SCHOROWANY: PŁUCA, KRĘGOSŁUP, nogi... Ukrywał to, mówił, że widza nie interesuje zdrowie aktora. Pomimo chorób przyjmował nowe role, grał prawie do końca.

Krzysztof Jasiński, dyrektor artystyczny Teatru Stu, gdzie Trela grał najwięcej w ostatnich latach, wspomina, że aktor miał swoje rytuały, które pozwalały mu się zmobilizować. Przychodził wcześniej, żeby mieć czas spokojnie napić się ziołowej herbaty. Godzinę przed spektaklem wchodził sam na scenę.

– To była jego prywatna medytacja, musiał zostawić to swoje chore ciało w garderobie i podjąć jeszcze jeden wysiłek. Wchodził powoli w rolę. Wtedy w teatrze musiała panować cisza. Jerzy się koncentrował – opowiada Jasiński.

10 minut przed spektaklem schodził w kulisy, wtedy na widownię wpuszczano publiczność. Po oklaskach wracał do garderoby i pozwalał, żeby rola powoli z niego schodziła. – Nie chciał w tych teatralnych emocjach wyjść od razu na ulicę. Nie lubił za szybko opuszczać świata fikcji – mówi Krzysztof Pluskota z Teatru Stu.

Ostatnią rolę zagrał w spektaklu „Trąbka do słuchania” w Starym Teatrze.

– Kiedy zaproponowałam Jurkowi udział, bardzo się ucieszył – mówi reżyserka Agnieszka Glińska. – A gdy okazało się, że z różnych powodów zmieniamy tytuł i nie będzie Firsy ani „Wiśniowego sadu”, tylko coś innego, poprosił, żeby to nie była duża rola. Był osłabiony, ale wiadać było, że ten powrót do Starego Teatru sprawia mu wielką przyjemność.

Jednym z ostatnich publicznych wystąpień była promocja płyty z poezją Ewy Lipskiej, którą nagrał z Anną Polony. – Jerzy był bardzo chory, słaby, z gorączką. „Wiesz, źle się czuję, ale nie mogłem odmówić Ani Polony” – wspomina Józef Opalski wieczór w październiku 2021 roku. – Powiedział z Anią Polony wiersze i usiadł porozmawiać z nami. Nie chciał wracać do mieszkania, jakby bał się samotności, w domu czekała go śmierć.

WADZIŁ SIĘ Z BOGIEM

OD KILKU MIESIĘCY DZIELIŁ CZAS między domem a szpitalem. Lekarze mówili, że uratować może go tylko cud.

– W Wielkanoc przychodzę do niego i mówi: patrz, stał się cud. Najgorsze objawy ustąpiły. Jak to zrobiłeś? – wspomina Krzysztof Jasiński. – A Jerzy na to: „Wczoraj porozmawiałem z Nim. Powiedziałem, że skoro umiał zmartwychwstać,

to niech przynajmniej mi pomoże też z nogą. I zobacz”. W tym, co mówił, było więcej tragizmu niż przymrużenia oka. Jerzy wadził się z Bogiem niczym postać z Dostojewskiego. Z pełną powagą.

W szpitalu odwiedzali go przyjaciele: Jan Nowicki, Daniel Olbrychski, Anna Dymna, Anna Polony, Dorota Segda... Prawie codziennie był Artur Więcek z rosołem i galaretą oraz Krzysztof Jasiński z garścią świeżych informacji z Krakowa. Napisał do przyjaciela oficjalny list: „Drogi Jurku, proponuję ci główną rolę w najnowszym spektaklu Teatru Stu...”. Chciał, żeby Trela nagrał swoją rolę na taśmę, która byłaby puszczana podczas przedstawienia. – Praca trzymała go przy życiu, to był sposób, żeby go jeszcze zatrzymać – wspomina Jasiński. Kilka dni przed śmiercią aktora przyniósł dyktafon, ale Trela był już strasznie słaby, nie był w stanie wyraźnie mówić. Ale podczas kolejnej wizyty aktor sam wrócił do tematu. – Wyjąłem telefon. Już nie mógł czytać, mówiłem mu zdanie po zdaniu, a on powtarzał i tak nagrywaliśmy – wspomina Jasiński. Udało się. Po czym Trela wyszeptał swoim przewrotnym głosem: a honorarium? Tu nie chodziło o pieniądze, ale o zasady.

Dwa dni później Jerzy Trela zmarł. **N**

jacek.tomczuk@newsweek.pl